

# COVID-19 kałeczy moje człowieczeństwo

10 września 2021

**OD ADMINISTRATORA „WOLNYCH MEDIÓW”:** Poniższy artykuł napisał maseczkowiec, który narzeka na osoby nie stosujące się do nakazów sanitarnych rządu i niechętne szczepieniom na koronawirusa. Wybitnie nie zgadzam się z jego poglądami, gdyż uważam maseczki za szkodliwe dla zdrowia, podobnie jak eksperymentalne preparaty genetyczne, które nie gwarantują zdrowia, ale przedstawiam je w ramach wolności słowa, by pokazać sposób myślenia takich osób i zainicjować dyskusję. Uważam, że jest ciekawy, bo pokazuje, że maseczkowcom nie chodzi o zdrowie, tylko o posłuszeństwo.

No, może z tym okaleczeniem to trochę przesada, lecz przecież coś jednak jest na rzeczy. Po półtora roku (od marca 2020) trwania stanu pandemii (epidemii) koronawirusa COVID-19 moje człowieczeństwo uległo pewnej degradacji. Spróbuję to opisać z indywidualnego punktu widzenia, co podkreślam mocno, by nie być posądzonym o uogólnianie indywidualnego doświadczenia, a już w szczególności indywidualnych odczuć. Jednak na obraz czasów pandemii złożą się tysiące zapisanych relacji, wspomnień, świadectw. Niech dołączy do nich i to.

Przez cały niemal rok 2020 nosiłem maski bez większego oporu i nawet z nieszczególnie silnym poczuciem dyskomfortu, ale od pewnego czasu, którego nie potrafię dokładnie określić, zacząłem się denerwować w sytuacjach, w których zmuszony byłem stykać się, w przestrzeni zamkniętej, z osobami nie noszącymi masek. Dotyczy to głównie dwóch zasadniczych przestrzeni, obecności w których nie sposób od czasu do czasu uniknąć. Mam na myśli przestrzenie handlowe (sklepy spożywcze, markety), komunikację – miejską i dalekobieżną oraz banki i może od czasu do czasu, niestety, jakieś urzędy. Wizyty w przestrzeniach zamkniętych, takich jak kina, teatry,

księgarnie odpuściłem sobie dokumentnie także po tym, gdy zostały otwarte, bo obecność w nich nie jest – przykro mi czynić tę uwagę – bezwzględnie konieczna. Nikt nie może mnie posądzić o to, że lekceważę kulturę – jestem właścicielem wielu setek książek, mnóstwa kaset z filmami i spektaklami teatralnymi, mam telewizor i internet, więc mogę z kultury korzystać do woli, ale produktów żywnościowych nie sprokuruję sobie samodzielnie, przemieścić się z miejsca na miejsce od czasu do czasu muszę (a auta osobistego posiadać nie chcę z lęku przed szaleństwem polskich – pożał się boże – kierowców), a z bankowości internetowej nie korzystam, również z lęku, więc do banku muszę od czasu do czasu się wybrać.

Kiedy więc w owe miejsca się udaję i widzę osoby nie stosujące się do obowiązku noszenia maski, trafia mnie szlag i budzą się we mnie instynkty krwiożercze. I przyznam szczerze, że to nie strach przed zakażeniem mną powoduje, lecz wściekłość i upokorzenie wywołane tym, że wielu innych nie stosuje się do przepisów, podczas gdy ja w sposób zdyscyplinowany je respektuję. Do irytacji skierowanej ku innym, nieomaskowanym (przypominam, że mam na myśli przestrzenie zamknięte) dołącza się irytacja nakierowana na obsługę (sprzedawców, konduktorów, kierowców, urzędników, etc.), która nie dyscyplinuje klientów czy pasażerów. Przez półtora roku obostrzeń sanitarnych ani razu, powtarzam, ani razu nie miałem okazji być świadkiem takiego dyscyplinowania, a to o czymś mówi. Trzecia warstwa agresji jest autoagresją, to znaczy nakierowana jest na mnie samego. Jestem na siebie zły, że jestem frajerem i respektuję przepisy płacąc za to dyskomfortem, podczas gdy wielu innych ma to w dupie. Ta synergicznie wzmocniona złość kumuluje się w szewską pasję, białą gorączkę, cichą furię.

Jest jeszcze gorzej. Moja złość, irytacja, złość, furia, upokorzenie nie pojawiają się wyłącznie w momencie wejścia do takiego przybytku i w czasie przebywania w nim (n.p. czynienia zakupów czy podczas podróży), ale dużo wcześniej, w przewidywaniu takiej sytuacji, gdy decyduję się na wyjście z

domu w celu udania się do sklepu czy w podróży. Moja wściekłość jest więc antycypowana, czuję ją już wtedy, gdy zbliżam się do sklepu, banku lub czekam na autobus na przystanku bądź na pociąg na peronie, a niejednokrotnie dużo wcześniej, gdy dopiero planuję tego rodzaju aktywność. Bo wiem, że niezawodnie natknę się na osoby, które nie noszą masek, a znajdują się niedaleko ode mnie. Tym samym banalne, pospolite, zazwyczaj emocjonalnie obojętne, choć czasem przynoszące odrobinę przyjemności czynności dokonywania zakupów lub odbywania podróży stały się źródłem psychicznej udręki i to rozlanej w czasie. Innymi słowy żyję w stanie nieustannego wkurwienia.

Ktoś może powiedzieć, że stres związany z życiem społecznym to nic nadzwyczajnego i zawsze człowiekowi towarzyszy w życiu codziennym i niecodziennym. Wychodząc z domu, robiąc zakupy, korzystając z komunikacji, idąc do kina czy teatru etc. zawsze narażamy się na ryzyko doznania jakiejś przykrości ze strony innych. To prawda, ale czymś innym jest potencjalne ryzyko zaistnienia takiej sytuacji, statystycznie rzadko występujące, a czym innym stres, który wiąże się z pewnością, że natkniemy się na okoliczności wprowadzające nas we frustrację, irytację, dyskomfort, gdy mamy – praktycznie – stuprocentową pewność (o czym przekonuje nas empiria codzienna) narażenia się na przykrość.

Wspomniałem o unikaniu wizyt w kinie czy teatrze. Bardzo chętnie bym się tam wybrał (ostatnio byłem w kinie w lutym 2020 roku na filmie Quentina Tarantino „Pewnego razu w Hollywood”, w teatrze jeszcze wcześniej, nie pamiętam na jakim przedstawieniu). Jednak, choć kina zostały udostępnione publiczności, nie zdecydowałem się tam wybrać. W wyobraźni widzę bowiem taką sekwencję zdarzeń. Jadę do kina tramwajem lub autobusem, zirytowany tym, że część pasażerów, częściej młodych niż starszych, nie ma na twarzy masek. Wchodzę do kinowego hallu z kasami biletowymi. Sala wypełniona jest przybyłymi, którzy w większości przypadków także nie ma na

twarży masek, względnie mają je pod nosem lub co gorsza pod podbródkiem, co jest przecież równoznaczne z nienoszeniem maski. Nabywam bilet i mieszam się w nieomaskowaną w większości publicznością. Na kilka minut przed rozpoczęciem seansu bileter zaczyna wpuszczać na salę kinową. Są dwa możliwe warianty takiej sytuacji. Jeśli posiadacze biletów na seans zorientują się, że bileter (bileterzy) nie reagują na brak masek u osób wręczających im bilety do kontroli, sami też nie nakładają maski (nawet jeśli je mają).

Nie jest jednak lepiej także w sytuacji, gdy bileter (bileterzy) przypominają o obowiązku noszenia masek, względnie nie wpuszczają do sali widzów nieomaskowanych. W takiej sytuacji, widzowie z biletami zakrywają twarz (często bez zakrycia nosa) maską na sam moment kontroli. Gdy jednak widzowie wejdą na salę, po grze pozorów zacznie się ogólne zdejmowanie masek, a gdy zgaśnie światło raczej nie dojrzy się osoby, która zachowała maskę na twarzy. Jestem pewien, że tak przebiegałaby moja wizyta w kinie, więc rezygnuję i jestem zły zaocznie na widzów-bezmaskowców, na bierność obsługi i na siebie samego, za upokorzenie wywołane rezygnacją (kapitulacją) z przyjemności obejrzenia filmu z powodu lekceważącej postawy ze strony innych. Takie oto mechanizmy, których analizę można by tu długo kontynuować, sprawiają, że towarzyszy mi permanentny stan irytacji, nienawiści i pogardy dla innych i dla siebie samego. Nienawidzę społeczeństwa, którego jestem częścią, nienawidzę siebie i sobą też pogardzam, a to przecież uczucia złe, szkodliwe dla innych i dla własnego samopoczucia i zdrowia, nie tylko psychicznego.

W ten oto sposób, choć nie zaraziłem się koronawirusem, nie zachorowałem na COVID-19 (a przynajmniej nie miałem żadnych powszechnie znanych tego objawów), jestem zaszczepiony podwójną dawką Astrazeneki, żyję w bezustannym stanie irytacji, stresu, złości, nienawiści, pogardy i autopogardy. A przecież nikogo nie muszę przekonywać, że takie życie, to udręka, która sprawia, że wszystkiego, lub prawie wszystkiego,

się odechciewa. Ktoś może doradzać: wyluzuj, nie myśl o innych, olej bezmaskowców, nie bij się z koniem, sam noś maskę, a z resztą daj sobie spokój, świata nie zmienisz.

Może to i dobra, rozsądna rada, tyle że mój charakter i temperament nie pozwala mi się do niej zastosować. Nie potrafię machnąć ręką i spuścić uszy po sobie kiedy otaczający mnie zewsząd, na każdym kroku bezmaskowcy mówią do mnie bezgłośnie: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi”.

Analogiczny proces wewnętrzny przechodzę w odniesieniu do niezaszczepionych. Wtedy zaczynam też odczuwać, że cała ludzka kultura, tak mi bliska, jest tak krucha, że można ją o dupę potłuc. A walczyć z tymi objawami ludzkiej głupoty nie sposób, bo to walka z wiatrakami, donkiszoteria. I wtedy odzywa się we mnie bestia, zwierzęca natura i podpowiada mi najgorsze myśli.

Tak oto uległo degeneracji moje (i bez tego nie nadmiernie wygórowane) człowieczeństwo. Afera epidemiczna pogorszyła generalnie nasze człowieczeństwo. Homo sum ... i co z tego wynika?

Autorstwo: Krzysztof Lubczyński

Źródło: [Trybuna.info](http://Trybuna.info)